

Brak celu poszukiwań, de facto bezsensowne błąkanie się po suchych korytarzach nieba, pogoń za nie-składną mrzonką. Bo czyż da się wyłgać na tyle duży i ciężki kamień, że nie podniesie go sam omnipotentny reżyser?

Kłamię przeglądając się w kieszonkowym lusterku. Dlaczego, do jasnej ciasnej widzę w nim Eda Woda? Czy jestem predestynowany do bycia najgorszym z twórców, pisana mi rola uschniętego drzewa, które co gorsza za życia było bezpłodne, nie wydało nawet najlichszego owocu, kamienia, samej pestki.

Podpierając się kosturem zmierzam do granicy. Co mnie czeka za nieboskłonem? Ile księżyców własnej głowy, naturalnych satelitów obiegających łepetynę przyjdzie mi zwiedzić nim pojmę, że nie jestem w stanie stworzyć nawet etiudy? Kogo spotkam podczas tych wojaży po bezludnych głązoteriach, kraterowiskach? Czyje duchy wyjdą z niewidzialnych nor, zamczysk i bud, by mnie powitać? Zostanę ugoszczony przez Szeherezady, widma Fellinich i Eisensteinów, czy może rozwłoką mnie ćwierćistniejące, mięsożerne głązy?

Wiem jedno - przez najbliższy czas nie spotkam nikogo realnego, z mięsa i czerwieni. To chyba dobrze - jak myślisz, kochanie?

Odpowiadam milczeniem, pod żarówką-kwoką zasnęła scenarzystka mojej najszkaradniejszej myśli. Nie mam odwagi, by krzyknąć "stop!". Po co budzić? Tak słodko drzemie. To nic, że poza kadrem.

III. Rycerze awolicii

Moja córka o wdzięcznym i miłym dla ucha imieniu Stagnacja (sam wybrałem!) liczy sobie zaledwie trzydzieści osiem wiosen. Tyleż samo lat, jesieni i bożych narodzeń. Jest więc nieco starsza ode mnie, jakby nie było - rodzzonego ojca. Ale to nie szkodzi.

Uroczy z niej szkrabieniek, dziewczynka o perłowych oczach (przeciwnie do tytułowej bohaterki dawnego szlagieru zespołu Omega, nie ma ona lnianych, suchych i łamliwych włosów, bujną, szatyńsko-rudą czuprynę, lśniąca w słońcu kudły zdrowego koloru).

- Stagnaś, Stagnaś! - wołam przez poranną mgłę. Siedzę z laptopem na werandzie, próbuję czytać, albo piszę właśnie nowy wiersz. Jest nieco za wcześnie na prasówkę, dziennikarze nawet najbardziej brukowych portali, hieny bulwarowe śpią w najlepsze zwinąwszy się w kłębek.

Więc jednak - pisze, wenisko tłuste a szkarane wzięło mnie we władanie i prędko nie wypuści z tłustych łap. Trzyma kielbaskowatymi palcami szepcząc same spacje.

Jest parno, wręcz nie ma czym oddychać, wrząca rosa osiada na klawiaturze. Pliki dostają zajoba, harcują po całym pulpicie. Nie jest to sprawa wirusa, lecz właśnie nieznośnego gorąca, od upału przegrzewa się i wariuje każda, nawet wzniosła myśl. W spiekocie z powodzeniem można jedynie mówić monosylabami, i to najlepiej w języku migowym. Układanie rymów, poezja tworzona w skwarze zawsze będzie czymś w rodzaju opóźnionego w rozwoju outsidera, anarcho-punka, który nie jest w pełni świadom, przeciwko czemu się buntuje, jedyne, co potrafi, to wyrzaskiwać górnio- i średniotne hasła o wojnie ze zgniłym kapitalizmem, obalaniu pomników banksterów.

I jabol - święty trunek, druga i najważniejsza rzecz zaprzatająca półumysł literackiego ćwierćmózga. Dla owej płynnej esencji życia, filozofii butelkowanej warto poświęcić niekończące się strofy, kleić lepiej, lepić moskaliki i elegie.

Upał mnie rozpuszcza duchowo i intelektualnie, przemienia w promiskuickiego sybarytę czerpiącego pełnymi garściami z życia, Casanovę w wiecznej męskiej rui, erotomana-praktyka, który potrafi nie tylko głądzić o miłos... tfu! - cielesnych podbojach, fantazjować, aż słuchać przykro, ale ale jest w pełni tego

słowa łamaczem. Niewieścich dusz i ciał. Energetycznym wampirem i jednocześnie prostownikiem. "Podłącz mnie, a wypełnię cię leniwym, gęstym prądem" - mruczę przez zaciśnięte zęby do kolejnej "ofiary". Mam stępione kły, nie potrafię wgryźć się dostatecznie głęboko, by pozbawić cię cnoty. Umysłowej. Już zawsze w pewnej części będę dla ciebie obcy, moja wirtualna, tymczasowa znajomo. Niespajalny.

- Ładne są. Tylko nie wiem, co to. Mogę zanieść do domu?

- Jezu, Stagnasiu - to przecież... - biorę z dłoni córeczki kilka przerdzewiałych na wskroś, różowych łusek.

- A to jest nic, nic. Takie tam śmieci. Części podwozia, chyba syrenki. Dawno tego nie produkują, ludzie poprzesiadali się do porządniejszych aut, gdy byłem malutki o - gdzieś taki jak ty. Teraz, po latach - tym bardziej wstyd to mieć, ba - nawet patrzeć bez obrzydzenia. No co za buble robili za komuny! - kłamiąc wsuwam znalezione do kieszeni.

- Z syrenek żadne zabytki, nic, tylko obciach właścicielowi robią. Grosze to-to kosztuje, a i tak każdy, kto szuka sobie samochodu, choćby najtańszego - omija szerokim łukiem parchy. Napływ aut z RFN w latach dziewięćdziesiątych wytrzebił przestarzałe buble, ludzie z Reichu na szrotach kupowali o niebo lepsze auta, niż mieli w domu. Ściągali rozbite, całe, kawalkady, karwany lawet parły do Polski. Przecież to jasne: nawet dwudziestoletni golf jest lepszy, niż fabrycznie nowa królowa szoc. Czy może raczej - pobożna. Syrena to niechlubny epizod w historii polskiej motoryzacji. Trzeba o niej jak najmniej mówić. Zadołować, niech ją ruda zje. O ile jeszcze jakiegokolwiek "skarpety" są w tym kraju. Milionami kiedyś szły do huty na przetop. Po czym jak po czym, ale po szmelcu nikt nie płakał, nawet, jak rozbił świeżo po zakupie.

"A więc jednak - zestrzelili... Ciekawe, kto? Pewnie jak zwykle - Kacapy. Kto inny byłby zdolny do tak potwornej i zarazem bezsensownej zbrodni? Neostalin pozbył się niewygodnego sąsiada, nawet nie w białych rękawiczkach,, ale na chłama... Biedni ludzie - rodziny katyńskie, stewardessy... Niezaangażowani w politykę - zarówno wielką, jak i tę małą, lokalną; ślepe żuczki rozgniecione przez gigantycznego martensa w zasadzie bez powodu.

Chryste, jakoś tak durno jest oddać życie za nic, zostać zamordowanym przez pomyłkę, albo przy okazji. Bycie przypadkową ofiarą zamachu bombowego, w ogóle - jakiegokolwiek zamachu, siedzenie w samolocie, który właśnie obrał kurs kolizyjny na jedna z dwóch wież WTC... Nosz cholera. Ironia losu - zapłacić najwyższą cenę w imię chorych idei, przepychanek politykierskich, umrzeć w cudzej wojnie - to przecież podwójne nieszczęście, tragedia-bliźniaczka syjamska zrośnięta z inną, większą.

Kryję twarz w dłoniach. Właśnie zostałem obarczony tajemnicą, spadła mi na barki wiedza ciężka jak młyńskie koło, niebezpieczna i w zasadzie obleśna jak wszystko, co musimy wbrew sobie ukrywać.

Do głowy został wtłoczony silikon, albo jeszcze lepiej: pianka montażowa. Skrzepł, zastygł, zbrylił się ów przepaskudny materiał. Nie mogę go wypluć, wykichać ani pozbyć się samodzielnie w jakiegokolwiek inny sposób; jedyna nadzieja w (oby jak najszybszej) operacji. Zapomnieć, zakrzusić się tajemnicą, strawić ją. albo znaleźć chirurga-amatora, na tyle szalonego, by zechciał przy pomocy młotka i ręcznej piły do drewna, w garażu otworzyć mi czaszkę i wyjąć z niej niepotrzebne myśli.

I co z tego, że wyimaginowana córka przyniosła mi naboje wystrzelone przez kremlowskich siepaczy? Mam dość tematu niedawnej katastrofy, wszystkich jej aspektów. Brzydzą mnie teorie spiskowe, mdlą domysły, chce się rzygać na widok hord ciekawskich turystów wysiadających z autokarów, by zrobić zdjęcie, jedno, drugie, osiemset piętnaste; by nagrać filmik. Wycieczki jadące do pobliskiego muzeum Kraszewskiego zatrzymują się, by popatrzeć na mój biedny, były sad, hałdy ziemi przeoranej przez spadłe cielsko maszyny. Potem - przekopanej przez dziesiątki archeologów. Patomorfologów. Zoologów. Genetyków funeralnych. Przez wróżbitów, poszukiwaczy zaginionych Arek Przymierza.

Fotografujcie co się da, chamy: kikuty brzoź, grusz i jabłoni, martwe pnie z głęboko powbijanymi weń fragmentami skrzydeł i kadłuba, odłamane konary, gałązki, na których pomiędzy suchymi liśćmi prześwitują strzępki ubrań, kłębowiska kabli, których jeszcze nie zachachmęcili złomiarze, by je opalić (cena

miedzi w skupie podobno znowu poszła w górę), resztki foteli, gaśnic, pokładowej elektroniki, bagaże ofiar. Kamerujcie strzaskane ule, to swego rodzaju blokowisko, jeszcze niedawno tętniące życiem, dziś - zmiecione z powierzchni ziemi.

Początkowo odganiałem was, prostacy, krzyczałem, że to teren prywatny i nie wyrażam zgody na rejestrowanie czegokolwiek. Oczywiście - jak grochem o ścianę, nie docierały do nikogo prośby, groźby, czy wyzwiska.

Odpuściłem więc, w pełni świadomy porażki, jaką niesie ze sobą walka z wiatrakami. Nie będę ogradzać postsadu wyższym płotem, budować murów, parawanów. W czasach, gdy w powszechnym użyciu są drony byłoby to delikatnie rzecz ujmując mało sensowne, pełne bezsilnego, burackiego uporu.

Włożyłem ręce do kieszeni, spod półprzymkniętych powiek obserwuję tłumy gapiów, kawalkady dziennikarzy, samozwańczych archeologów, nastolatków wabionych wonią padliny, nieco nekrofilską chęcią dotknięcia, zasmakowania wręcz skrzepłej krwi, jaką ciągle zbryzgane są drzewa.

Mieszkańcom ościennych miejscowości dawno już spowszedniał przewróconego na drugą stronę, podszewką na wierzch, oskórowanego sadku; policje, służby specjalne dawno straciły zainteresowanie tym miejscem. Nawet nie ma komu posprzątać tego bajzlu, przyroda zaczyna zakrywać krater zielonymi macakami. Drżące i wątłe, białe kwiatki nieśmiało wyrastają z rękawów porwanych marynarek i garsonek, rachityczne pokrzywki, jakby wstydząc się swego istnienia wyrastają z podróżnych toreb, walizek z niedużymi ważnymi papierzyškami.

Parę dni temu przyjechał dźwig i zabrał co większe fragmenty wraku. Nie pytałem, dokąd. Nie będę robić za wścibską babinę, przekupę chcącą wiedzieć wszystko, a nawet jeszcze więcej. Siedziałem na werandzie z nieodłączną szklaneczką czegoś mocniejszego w dłoni, znudzony patrzyłem jak robotnicy w asyście policji zabierają bebechy martwego samolotu, wydzierają spod ziemi głęboko wbite żebra i kły, kości skrzydeł, sterówki, zgięty na kształt banana dziób.

Reszta ciała poleży zapewne przez następną pięciolatkę, może nawet i dłużej; las wchłonie szczątki maszyny i jej pasażerów. Nie kiwnę nawet palcem, by zrobić porządek z tym syfem, choć to przecież mój teren. Nie czuję się i nie jestem winny, z jakiej więc racji mam wypruwać żyły, by sprzątać spadły z nieba majdan?

Niech leży, na wieczną rzeczy pamiątkę, niech szpeci. Grzebcie się w niedognitych okruchach, przeszukujcie centymetr po centymetrze ciągle cuchnący paliwem lotniczym grunt. Może znajdziecie zapalnik, lont odpadły z laski dynamitu. Albo więcej łusek.

Huk nadal rozbrzmiewa w powietrzu, wciąż da się słyszeć ryk dogorywającej bestii.

Niedawno przeżyłem nowe narodzenie, obmycie odradzające, poznałem najważniejsze ze słów: spokój. Podążam za filozofią, jaką niesie za sobą milczenie, stanie z założonymi rękami. Czczę ideę szlachetnego nieróbstwa, codziennie składam hołd jakże wzniosłej, mądrej i pięknej ciszy przed... jeszcze większą ciszą - nieistnieniem.

Zakutany we włóczkową zbroję, dzierżąc papierowy miecz, dzielnie walczę z inwencją, zapalem, entuzjazmem. Oduczam się uśmiechać, kamienieję od wewnątrz. Nie, cały się zbrylam, skóra zmienia kolor na szarotrupi.

Każdy ma takiego tupolewa, na jakiego zasługuje - układa mi się bon mot. W moim, lśniącym niczym muchy obsiadające padlinę, albo świeży krowi placek, leci dziewięćdziesiąt sześć pluszowych misiów. Uśmiechają się, na ich wesołych pysiátkach odmalowuje się bezgraniczna błogość. Błyszczą śnieżnobiałe ząbki.

Zimno mi, stoję po kolana w hektolitrach porannej rosy. Sadek, zaspany, nie dobudzony z nocy, tętni, drży, oddycha. Nasiąkam promieniami wschodzącej, pomidorowej kuli. Za stodołą płonie horyzont. Czuję, że zaraz dojdzie do katastrofy, z chmur spadnie do cna skorodowana pucha, lotem koszącym zmiecie wszystko w promieniu kilkudziesięciu metrów. Nie mogę się doczekać.

Rytuał tragedii należy powtarzać codziennie, z dokładnością co do sekundy, kropli, okruchu szkła, odw-

zorowywać z pietyzmem narodową śmierć. Budzić ją z grobu, nie dawać usnąć, zatrzeć się, przyblaknąć. Musi ciągle być żywa, namacalna, świeża i niezagojona. Niech bezustannie kręci się karuzela pochodów, miesięcznic, ekshumacji. W naszych uszach musi ciągle dudnić TERRAIN AHEAD, PULL UP, PULL UP!

Zamykam oczy. Z rozdartych brzuszków maskotek, niczym konfetti sypie się drobno posiekana gąbka. Okruchy sztucznych płuc, serduszek, jelit. Turpizm za dychę, przedszkolna zabawa w wojnę, jasełkowa inscenizacja piekła.

- To był zamach! - krzyczy sąsiad zza płotu.
- Tak, masz pan rację - odpowiadam nieco flegmatycznie i od niechcenia.
- Na zdrowy rozsądek. Zamach na logikę, mord z zimną krwią. Podłożono termobaryczną bombę. gaśnice napełniono trotylem. W rozpylonym helu, radioaktywnej mgłę, oparach wydobywających się z głów oczadzeńców nie sposób bezpiecznie wylądować.
- Młody jesteś, to guzik się znasz. Ruscy, krasnoarmiejcy, kagiebiści podali pilotom rybę zatrutą dioksynami, jak swego czasu Juszczenko - wieszczy moherowy ciemniak. Słucham z ironicznym uśmiechem.
- Już kwadrans po wylocie z Warszawy zrobiło im się niedobrze, obraz się rozmywał przed oczami, dwoił się, skakał. Robili co mogli, chłopaki, ale wiesz jak to jest pilotować takie bydlę, gdy cały świat wiruje...
- Mówili ci, nawiązał pan telepatyczną więź, że tak wszystko wie?
- "Powtarzać tragedię do znudzenia, przejeść się nią aż do porzygu. Znienawidzić jeszcze bardziej" - myślę. Sąsiad nie odpowiada. Zadumał się, biedaczysko, nad sprawami zbyt trudnymi jak na jego jednokierunkową mózgownicę.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 12.06.2018 09:38

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.